

## Syndrom Biegu Piastów

Na początku muszę się przyznać, że Julian Gozdowski to mój teść. To prawdopodobnie oznacza, że ta pisanina nie ujrzy światła dziennego, bo Pan Komandor uzna, że to może być jakiś nepotyzm, lub w najgorszym razie kolesiostwo. Napisać artykuł do Raportu z Biegu Piastów, no, no, hola, hola. No tak zięć przywalił artykułik, to go zaraz Gozdowski włożył do broszurki i rodzinę promuje.

Mój związek z Panem Prezesem jest tu jednak dość ważny, więc świadomy, tego że moje nazwisko może nie zostać przeczytane (bo już nawet nie pomyśle, że zapamiętane) przez szerokie masy biegaczy, zaryzykuję. Najwyżej będę musiał swoje parcie na autopromocję odłożyć na kijek (narciarski rzecz jasna).

Otóż, jak wspomniałem Julian Gozdowski to mój teść. I ma to znaczenie o tyle, że od kilku już dobrych lat, słyszę o Biegu Piastów na okrągło. Święta, jakimś dziwnym trafem zataczają w dyskusji koło od karpia, przez prezenty, brak śniegu, marzenia, wysiłek, do Biegu Piastów. Albo: "Co słychać?" "No dobrze, a u Was?" "Też, No trochę tu mi się pokomplikowało". "Tak, a co konkretnie?" - i do Biegu Piastów. I te ciągle telefony do Pana Prezesa. Nawet wynajęty Święty Mikołaj, okazał się pochodzić gdzieś z okolic Wrocławia i oczywiście zupełnie przez przypadek rozpoznał na zdjęciu rodzinnym Pana Gozdowskiego. Mało brakowało, a cała mistyfikacja, runęła by w gruzy, bo Mikołajowi wzięło się na wspominki o jakimś prehistorycznym udziale w Biegu Piastów. "Mikołaju, Ty byłeś u dziadka? A kiedy?". I tu musieliśmy interweniować, że to nie Jakuszyce, tylko Laponia i nie żaden bieg, tylko zwykła ucieczka i że uciekł renifer, a nie narciarze, bo był niegrzeczny i się nie słuchał Mikołaja, a wszystko było bardzo dawno temu.

Postanowiłem więc w tym roku organoleptycznie sprawdzić co to do diabła jest ten Bieg Piastów. Kiedyś uczęszczałem do szkoły sportowej, więc serce mam jak dzwon. Gram intensywnie w badmintona. Co prawda zacząłem po czterdziestce, ale szybkość wraca z treningu na trening. Może jakieś dwadzieścia kilogramów mam za dużo, ale przecież nie będę ścigał się z Kowalczyk. Mam doświadczyć emocji, spróbować adrenaliny i przede wszystkim zrozumieć na czym polega to wariactwo Biegu Piastów. I dobrze będzie ukończyć to cudo, żeby nie gderali do końca życia.

Wybrałem dwadzieścia sześć kilometrów. Nie będę przecież z dziećmi spacerował na dziesięć. Co powiem w Warszawie, że startuję z kolonistami

z podstawówki? Pięćdziesiąt to już jednak przesada. To mi zajmie cały tydzień. Pozostaje więc środkowe dwadzieścia sześć. Bardzo trafny wybór. Startuje też moja szwagierka, oraz tzw. kuzyn-szwagier, który poprzednio walczył na długich dystansach, ale w tym roku najwyraźniej wymiękł biedaczysko. Ponieważ nigdy wcześniej nie miałem nart biegowych na nogach, to rozsądnie będzie zrobić jakiś trening. Poleciałem więc w piątek na małą rozgrzewkę. Chyba zrobiłem z dziewięć kilometrów. Dałem radę, choć przez głowę przeszła niczym błyskawica myśl. "To nie będzie bułka z masłem, lepiej wracaj do domku". Szybko jednak odgoniłem natrętną pesymistyczną wątpliwość i w skupieniu czekałem na sportowe jutro. W między czasie odbyłem szereg strategicznych konsultacji z bardziej doświadczonymi biegaczami, z których jasno wynikało, że najważniejsze to własny, spokojny rytm, dużo pić i nie ulegać głupim myślom w stylu "odpuść sobie, daj spokój, zrezygnuj". Podobno te myśli w naturalny sposób się pojawiają, a jeśli nic się z nimi nie robi i pozwala im zwyczajnie płynąć, to w końcu jak powiew wiatru rozplyną się gdzieś w przestrzeni. Czyli takie intelektualne, sportowe Zen. Czyli nie zarznij konia, pij ile wlezie i odetnij głowę, jak Cię będzie mącić.

Dobra, poszły konie po betonie. Raczej po śniegu. Nie da się w tej zgrai napalonych narciarzy biec swoim tempem. Nie mogę pozwolić, by mnie wszyscy przegonili. To jak Wielka Pardubicka. Trzeba być w czubie, bo Cię stratuja, rozjadą, rozczłonkują i pozostawią bez nadziei na sukces. Tylko dlaczego pomiar czasu jest kilkaset metrów od startu? Zmarnowałem trochę sił. Kompletnie nie rozumiem kto to wymyślił?

Przez pierwsze kilka kilometrów dawałem radę razem z peletonem, choć trochę mnie denerwowało, że mijają mnie zawodnicy, z końca kolejki, o numerach kilkaset dalszych ode mnie. Na pierwszym punkcie z cytrynowo-cukrowym ulepkiem spotkałem jakiś dwóch zabawnych Panów. Nie mieli numerów, czyli turyści, luzacy, spokojni entuzjaści gór, a nie charty puszczane wolno, jak my. "No, brawo, brawo, tak trzymać, dobre tempo. Tu, za chwilę, będziecie mieli lekko pod górkę, ale potem już z górki". Też mi odkrycie. To jak po nocy zapada dzień. Jak jest górka, to potem jest z górki. Panowie mówili z uśmiechem zabarwionym szczyptą ironii i cynizmu. Co prawda na początku tego nie zauważyłem, a właściwie nie usłyszałem. Dopiero później to do mnie dotarło. Cholerna łoża szyderców... I się stało jasne. To nie było lekko pod górkę. Ta góra nie miała końca. To nie jest Bieg Piastów, to raczej Podbieg Straceńców. Czy mój teść nie może być kapitanem drużyny szachowej, kierownikiem SPA, szefem restauracji, albo choćby menedżerem McDonalds? Po diabła zapisałem się do tej rodziny? To mnie generalnie zabiło.

Po kilku kilometrach odzyskałem rozum i tętno. Wypiłem ze dwieście herbat. Potem były zjazdy. Od dziecka jeżdżę sportowo na nartach. Wielokrotnie startowałem w gigancie i slalomie. Mało brakowało, a zostałem zawodowcem. Trenowałem kilka tygodni w roku. Koledzy na różnych wyjazdach o dziewiątej przecierali zaspane oczy, a ja w tym czasie od godziny na tyczkach ćwiczyłem skręty. Pierwsze narty miałem na nogach w wieku czterech lat. Jestem szybki jak błyskawica i giętki jak guma. Teraz Wam pokażę, narciarzyki.

Sześć razy leżałem na ziemi! To nie są narty, to są jakieś żarty! Na tym się nic nie da zrobić. Do dziś boli mnie biodro.

Trzy godziny, trzydzieści jeden minut ! Biorąc pod uwagę, że zwycięzca zrobił to w godzinkę z małym kawałeczkiem, to wynik nie wymaga jakiegokolwiek komentarza. Lipa i tyle. Na dodatek nie wiem kiedy wyprzedziła mnie moja delikatnusia, słabiusia, chucherkowata szwagierka, (że nie wspomnę o kuzynie-szwagrze) co stało się tematem przewodnim kilku dni. Nawet moja osobista żona, z wrodzoną sobie elegancją i empatią mówiła: "no bardzo jestem z Ciebie dumna, ale żeby szwagierka Cię wyprzedziła?"

To był najdłuższy, ciągły wysiłek w moim życiu. Stoczyłem walkę ze sobą. Przeżywałem entuzjazm, po to by za chwilę popaść w depresję. Byłem jak ptak i jak słoń w jednej chwili. Ale w pewnym sensie moje życie psychiczne dzieli się na **do** i **od** Biegu Piastów. Kiedyś psychologowie amerykańscy definiowali tak zwany syndrom Wietnamu. Żołnierze wracający z wojny z jednej strony bywali w tragicznym, trudnym do opisanego stanie, nie potrafiąc całkowicie zaadoptować się do normalnej rzeczywistości. Z drugiej, niektórym towarzyszył stan niezwyklej omnipotencji, mocy, sprawczości.

"Co Wy wszyscy wiecie o życiu, śmierci, trudach, wysiłku, walce, itd. Jeśli przeżyliśmy taką wojnę, cóż innego może być dla nas zagrożeniem". Jesteście Wy nic nie wiedzący i My doświadczeni, silni, solidarni."

Przeżywam coś na kształt Syndromu Biegu Piastów. Rzadko kiedy mam szansę zmierzyć się z własnymi ograniczeniami, z własnymi fizycznymi i psychicznymi barierami. Prowadzę intensywne życie biznesowe, podejmuję setki trudnych decyzji, ale Bieg Piastów dał mi wyjątkową szkołę. Okazję do bycia ze sobą, w sobie, na swój temat. Zmierzyłem się z krnąbrnymi myślami i zniechęceniem, ale także poczuciem odradzania się. Obserwowałem jak moja własna motywacja maleje i odbiera mi siły, a potem jak się buduje i daje mi fizycznego kopa. Przekonałem się jak duch

wpływa na rezultat. Na dodatek na koniec dnia czuję się wzmocniony. To jest niezwykle osobiste przeżycie. I będę teraz namawiał moich przyjaciół, jak neofita, do kroczenia nową narciarską, piastowską drogą. Chciałbym aby mogli sami się z tym wszystkim zmierzyć. Może nawet wydam polecenie służbowe mojemu zespołowi?

Tak jak wspomniałem Julian Gozdowski to mój teść. Dzięki teściu za ten bieg.

Dariusz Milczarek (numer startowy 3981)